NUMER 21. DNIA 24-go MAJA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z LASU.

Posucha.

W znojnym upale stoją bezwładnie drzew tłumy,
szare, by wypłowiałe, niebo nie ćmi się obłokiem,
najlżejszy wiew nie mąci dyszącej zadumy
czasu, co się powolnym w słońcu wlecze krokiem.

Trawy i zioła zwiędłą w żarze kłonią głowę,
ptaki zmilkły, szukając wśród gałęzi cienia,
sosna łzy roziskrzone sączy bursztynowe,
grzyb zbolały legł cicho i kona z pragnienia.

Upał dyszy... Schnie wszystko, mdleje, obumiera,
mchy pożółkły, jagoda skurczona opada, —
a słońce płomieniste jaskrawo spoziera,

jak się pod jego okiem pierś ziemi rozpada,
jak się głęboką rysą spopielała płuży...
Upał dyszy... Las szepcze: burzy, burzy, burzy!

Świtanie.

Na polach świta, gore... w lesie szaro jeszcze,
zwoje mgieł sinych lekko opasują drzewa,
lecz wstrząsają już puszczą przebudzenia dreszcze, —
maluczko a las cały ocknie się, rozśpiewa...

Pierzchną straszydła nocy, scichną mar szeptania,
promień gąszcze przeniknie zwycięzką potęgą,
światłem, ciepłem zaleje i tryumf świtania
uwieńczy smug słonecznych zróżowioną wstęgą!

Maluczko a rozebrzmią chóry wielką pieśnią,
ożyją, zaroją się kniei legowiska,
tajniki mroków znikną, czarne sny się prześnią,

przestaną błędnym ogniem straszyć uroczyska.
Na polach świta, gore... w lesie szaro jeszcze,
lecz wstrząsają już puszczą przebudzenia dreszcze.

Mogiła.

Samotna pośród lasu, wygnana z cmentarzy,
z sztywnej ciasnoty grobów, kamieni i krzyży
od gwaru świata dalej, — a do Boga bliżej,
leży cicha mogiła, o przeszłości marzy...

Rosa na nią łzy leje, na świtaniu drżące,
mech w miękkość objęć tkliwych otula uśpioną,
brzoza wiotkich gałązek okrywa zasłoną,
strzegą dęby poważne, pieści ranne słońce...

Lesie, ty polski lesie, wielki sprzysiężony,
czy cień twój kryje jedną mogiłę nieznaną
nad wspomnień tajemnicą głucho zadumaną?...

Lesie, ty twierdzo nasza! Duch mój rozmodlony
korzy się przed świętością twych mogił, twej ciszy
i w uroczystym szumie przyszłe echa słyszy...

Zofja Poznańska.

Hetman Żółkiewski i mieszczanie lwowscy.

Trzechsetna rocznica założenia Żółkwi skojarzyła się ściśle z pamiątką dwu mężów, którzy tak samo jak dla Rzeczypospolitej, tak i dla samego miasta niespożyte położyli zasługi. Wszystko to, czem była Żółkiew za czasów swojej świetności, chwałę swoją i znaczenie, bogactwo mieszczan — wszystko zawdzięcza to miasto Żółkiewskim i Sobieskim, tak, że gdy ich nie stało i Żółkiew poszła tą samą koleją, którą w drodze do upadku już przedtem poszedł ogół miast polskich. Wystarczy porównać rycinę, przedstawiającą Żółkiew w siedmnastym wieku, ze stanem jej choćby dzisiejszym, aby poznać, jak znaczna jest różnica między tem, co istnieje, a tem, co było. Tak, jak dziś, jest Żółkiew prawdziwym relikwiarzem pamiątek po Żółkiewskich i Sobieskich, a że jej mieszczanie pamiątki te szanować umieją, pamięć swych wielkich założycieli uczcić potrafią, to ich zasługa i tego brzasku odrodzenia, który wogóle nad całem polskiem mieszczaństwem świta. W dzisiejszej uroczystości żółkiewskiej bierze bardzo żywy udział i stolica kraju, Lwów. Nic to dziwnego, gdy się zważy, że duch patrjotyczny mieszkańców Lwowa zawsze ożywiał i że specjalnie dla Jana Sobieskiego, a po części także i dla hetmana Żółkiewskiego, miasto nasze ma lokalny obowiązek wdzięczności. Zasługi Jana Sobieskiego uczcił Lwów spiżowym pomnikiem; jakie zaś były stosunki hetmana Stanisława Żółkiewskiego do mieszczan lwowskich, o tem niewiele się dochowało szczegółów. I nic dziwnego. Człowiek, który, tak jak Stanisław Żółkiewski, znaczną część swojego żywota przepędził u granic Rzeczypospolitej na dziełach orężnych, nie mógł mieć zanadto dużo czasu do zajmowania się sprawami wewnętrznemi. Hetman wielki koronny i kanclerz zbyt wiele miał czynności ogólno-państwowych, aby szczególną uwagę poświęcać jednemu miastu, choćby tak ważnemu pod wielu względami, jak Lwów był za jego czasów. Mimo to jednak tak z urzędu swego, jakoteż jako najbliższy sąsiad Lwowa utrzymywał het-



ŻÓŁKIEW

z góry Haraj od południa. — Rys. z natury M. B. Stęczyński 1847.

man Żółkiewski żywe stosunki z tutejszem mieszczaństwem, cenił je i nigdy nie poskąpił mu ani rady, ani swojej doświadczonej pomocy. W archiwum miejskiem zachowało się trochę listów, hetmańską ręką pisanych, w sprawach różnych, po największej części prywatnych. Poleca hetman między innemi opiece rajców lwowskich malarza lwowskiego Bogusza, o którym istnieje przypuszczenie, że on to właśnie malował obraz, przedstawiający bitwę pod Kłuszynem, a znajdujący się w farze żółkiewskiej. — Innym znowu razem, w czasie wybuchłych we Lwowie tumultów w r. 1597, doradza Żółkiewski mieszczanom lwowskim, jak mają dążyć do zaprowadzenia spokoju, a mianowicie przy pomocy środków łagodnych.

naturalnie podnieśli ogromny gwałt, a ostatecznie po długim procesie stanęło na tem, że Jezuitom wyznaczono plac tam, gdzie dzisiaj stoi ich kościół, a gdzie poprzednio znajdowały się przy furtce miejskiej łazienki i stara szkoła. Miejsce to wyznaczyła komisja królewska w skład której wchodził i Stanisław Żółkiewski, gorący podówczas zwolennik zakonu Lojoli, który intromitował Jezuitów w posiadanie tych realności. Reprezentacja miejska, a mianowicie Adam Śmieszek i Andrzej Mądrowicz rajcy, 2 ławników i jeden reprezentant kolegium czterdziestu-mężów wnieśli za pośrednictwem pisarza miejskiego Bartłomieja Uberowicza uroczysty protest, poczem wysłano nawet deputację do króla. Ostatecznie sprawa się załatwiła ugodowo, w czem główną zasługę po-



ŻÓŁKIEW
w siedmnastym wieku.

Są jednak dwie sprawy miejskie ogólniejszej natury i dla miasta ogromnej wówczas doniosłości, w których hetman Żółkiewski odegrał znaczną rolę w urzędowym charakterze. Jest to mianowicie sprawa osiedlenia się Jezuitów we Lwowie i sprawa fortyfikacji przedmieścia halickiego.

Na samym początku siedmnastego wieku był Lwów widownią gorącej walki między radą miejską, Jezuitami i Żydami. W zamiarze osiedlenia się we Lwowie uzyskali Jezuici dekret królewski, nadający im na własność niektóre domy żydowskie wraz z bożnicą przy ulicy dzisiejszej Blacharskiej. Żydzi

łożył Stanisław Żółkiewski, nie szczędzący ani trudu, ani starań osobistych, byle przykrą tę sprawę doprowadzić do ostatecznego załatwienia.

Drugą sprawą miejską, w której załatwieniu wziął wybitny udział hetman Stanisław Żółkiewski, była kwestja fortyfikacji przedmieścia halickiego. Jak wiadomo posiadał Lwów stary dwa przedmieścia: Krakowskie, zostające pod juryzdykcją starosty i Halickie, które za czasów Zygmunta III rozrosło się znacznie i stanowiło ustawiczny kamień obrazy dla panów z lwowskiego ratusza. Spory o daniny na rzecz zwłaszcza fortyfikacji

nie ustawały, dochodząc czasami do otwartej rewolty i do wzajemnych rekryminacji przed bracią szlachtą na sejmikach w Sądowej Wiszni. Ostatecznie powzięli przedmieszczanie śmiały, choć niewykonalny plan ufortyfikowania całego przedmieścia. Niewykonalny dla tego, że środki finansowe przedmieszczan nie wystarczały, a powtóre obwarowanie tak ogromnej przestrzeni, a jeszcze bardziej obrona jej w razie napadu byłyby połączone z ogromnemi trudnościami. Mimo to jednak król Zygmunt III. zgodził się na ten plan i wysłał nawet specjalnego geometrę, który miał opracować szczegóły fortyfikacji. Roboty się rozpoczęły ale też i natychmiast ustały dla braku funduszów. Zjechała tedy komisja królewska w skład której wchodził także hetman Żółkiewski. On to bystrem okiem żołnierza ocenił całą niedorzeczność prowadzonych robót i wytyczył nowy, praktyczny i tańszy sposób obwarowania przedmieścia, którego szkic znajduje się dotąd w archiwum miejskiem.

WŁADYSŁAW ORKAN.

POMÓR.

POWIEŚĆ.

(8)

Tekla z Salką przykiwnęły głową, ale Jantaszek z ich twarzy zmiarkował, że czem innem mają obie, nie jego gwarą, myśli zaprzątnięte. Przerwał też gwarę dość ochotnie, bo i sam w sobie czuł wyraźnie, iże mu nie to w uszach gra, co gada. Wróciłby do swoich strapień, ale już nie miał jako; zresztą widział, że i one swojemi zajęte. Więc, milcząc, oczami po izbie włóczył, sprzęty obzierał, ku nalepie patrzał, dobytek ich chałupy po cichu szacował. I naszedł oczami dzieci, zbite w gromadkę na ławie, cicho siedzące, zesmutniałe.

Chcąc przecież uwagę matki zwrócić na się, spytał najbliżej siedzącego Józka:

— Cóż wam mama na obiad uwarzyła?

— My jeszcze nie obiadowali! — odrzekł z dumą Józek.

Tekli na twarzy rumieniec wykwitnął.

— Tak zeszło... — zagadała z udaną swobodą — Łukasz gdzieś poszedł... Nie widać go... A tu czas leci... Dzień krótki... Nie obejrzysz się, już południe i śródwieczerz za niem...

Jantaszek zrozumiale przykiwywał głową.

— Tak, ono, tak... U ludzi haw nie inaczej... Jednako płaci: bogaty, czy biedny — wszystkich te roki porównały... Biedy sie nima co wstydzić, ani też narzekać na nią... Bo bieda jeszcze nie najgorsza. Gorszy zły człowiek, jak sie trafi...

Urwał westchnieniem ciężkiem, aby zaś widziano, iże jego to gorzej nęka, niż wszystkie złe biedy. Po krótkiej chwili poszepnął jakby do sie:

— Śmierć ze wszystkiego byłaby najlepsza, ale... przyjdzie czas i na nią...

Spojrzał znacząco na obie niewiasty, by słowom swoim dodać przez to wagi, a potem, chcąc niby chytrze zatrzeć jakowąś myśl skrytą, której za słowami nie miał, popatrzał niedbale w okno:

— Ho! To już wieczór się przybliża...

Salka, mając na uwadze skupione w gromadkę dzieci i korzystając z przypominku, ozwała się z nieśmiałością:

— Trza pomyśleć o jakiej wieczerzy...

— Żeby nie ta święta noc — ciągnął Jantaszek — to nie wiem, coby człek ze sobą począł. Dzień, widzi się, że krótki, a dowyzierać się jej nie porada. Tela człekowego dobra na ziemi, co prześpi.,.

— Żeby to można spać... — wtrąciła Tekla.

— Bywają i noce złe, bywają... Ale teraz w tych czasach, to dzień sto razy przykrzejszy. Obstoi za miesiąc czyśćca...

Dzieci przerwały dalszą gwarę płaczem, bo

się z cichości wybiły odrazu, skoro im Salka wieczerzę zwarzyła. Oblazły matkę i poczęły się przykrzyć, dopominać — musiała je słowami legować, jak mogła. Jantaszek też, widząc, że się wśród tych rozpłakanych głosów do dłuższego słowa nie dociśnie, począł się zabierać ku drzwiom.

— E, siedźcież jeszcze, nie chodźcie — poprosiła za gaździnę Salka.

Ale się nie zawrócił, choć nie miał dużej woli iść, i wyszedł.

Ledwo się dzieci uciszyły, już to w kołysce zapoczęło skomleć; musiała je matka uspokoić karmieniem, a Salka zaś zajęła się strojeniem wieczerzy.

Mrok już na szybach osiadał i zadymiał je pomału. W izbie robiło się ciemno. Z ciemnością wpełznął strach, nakazujący dzieciom, by się nie ruszały. Zbiły się więc w gromadkę, jak pisklęta na gnieździe, gdy noc zawłóczy niebo, a matki nie widać z pola, i siedziały w szarym mroku pod oknem na ławie. Cisza je gniotła, tak trwożąca, jakby w komorze obok abo w sieni umarły leżał. Poweseliło się dopiero, gdy Salka rozniecіła ogień na nalepie. Światło strzeliło na izbę i poczęło z wartkością rozmiatać mrok, wyganiać go do sieni — pozostał jeno ukryty pod ławą i z nieśmiałością przyczajony w kątach, a zresztą jasność zapełniła izbę, gubiąc się w dymie, niby we mgle w górze, pod powałą.

Dzieci pozeskakiwały z ławy, bo je tam zimno, pchające się przez uchylone drzwi do izby, kąsało w bose nożęta, i usadowiły się razem w kącie na nalepie, grzejąc stopy, zwinięte przy ogniu, marząc przy cieple o wieczerzy. Salka, porobiwszy, co było do zrobienia, siadła na ławie przy nich. Tekla zaś usypiała dziecko, to najmłodsze, ruszając z lekka kołyską.

Kroki w sieni zadudniły — do izby wszedł Łukasz. Bez słowa przywitania wszedł, czołem o dym skłębiony w górze zawadzając, i usiadł ciężko na ławie. Z kąta wybłysły ku niemu, jak iskry, oczy dzieci, uradowanych zjawieniem się ojca — ale pogasły pomału, podobnie znowu jak iskry.

Tekla podniosła głowę z nad kołyski, przy której pochylona klęczała, niedobrze i niespokojnie spojrzała na niego, potem na Salkę, jakby jej rzec chciała: „Nie mówiłach ci, że taki wróci?“ Salka jednak nie uważyła jej spojrzeń, smutnie zapatrzona przed się i myślami z izby wychodząca.

A Łukasz siedział bez ruchu, jak usiadł, oczyma w jedno miejsce patrząc i nie patrząc — powiedziałby kto: „Martwy, czy co?“ — gdyby mu się pierś nie podnosiła.

I długie chwile uszły, a nikto się słowem nie odezwał.

— Cóżeś ta słyszał? — spytała nareszcie Tekla. Głos jej miękki drżał, jak pierwsza struna, przerywająca ciszę.

— Nie powiesz nam nic? — pytała jeszcze milej, gdy się na pierwsze słowa nie odzywał.

— Cóż bede gadał?... po co?...

W głosie jego takie zgnębienie było słychać, jakie się słyszy w głosie ludzi, którzy przeżyli świeżo śmierć najbliższych. Już też go więcej Tekla nie pytała. Ten smutek jego, przyniesiony od ludzi ze życia i jej się częścią dostał. Wieczerzę jedli w milczeniu. I żadne od miski oczów swych nie oddzierało. Głód przyniewalał. Łukasz jeno marudził, podobnie jak przy śniadaniu, łyżką na miskę sięgał jak z przymusu, już nie z uwagi na dzieci, łakomie pożywające, jeno że taką ciężkość czuł na sercu, jakby je kamień młyński tłoczył. Wnetki też położył łyżkę.

— Czemu nie jesz? — prosiła żona.

— Ja nie głodny... Tu mam pełno — pokazał dłonią na pierś. — Widzi mi się tak, jakbych był skałą napasiony...

Po wieczerzy Salka posprzątała na nalepie, pomyła, poukładała wszystko na swoim porządku i wysunęła się nieznacznie z izby.

Dzieci posnęły odrazu, gdzie które sen napadł. Zbierała je matka po jednemu i przenosiła do łóżek.

— Kanyż Salka? — ozwał się Łukasz.

— Czy ja wiem... poszła na pole...

Łukasz po chwili znowu:

— Ja jej muszę zapowiedzieć, żeby ona sie z tym Tomkiem nie wdawała...

— Sprawiedliwiebyś zrobił... i ja jej już powiadała...

— Ty ją strzeż... bo ona nie wie..., a to huncfot!

Słowo ostatnie wyrzekł twardo, nabrzmiałym od gniewu głosem. I znowu cisza, jak poprzód, zaległa izbę.

(C. d. n.)

Pochód do Chin.

(Wspomnienie osobiste.)

(Ciąg dalszy.)

Jeden ze świadków naocznych tej sceny tak mi ją opowiadał: pod przykryciem nocy przysunął się oddział rosyjski do wsi, która, nic nie podejrzywając, pogrążona była w głębokim śnie. Już w kilka minut po wtargnięciu wojska, które nie napotkało najmniejszego oporu, leżało we krwi około trzystu Chińczyków, a ich domki drewniane płonęły jasnym ogniem. Żołnierze i kozacy z taką wściekłością rzucali się na swe ofiary, że w jednego Chińczyka wbijało się zwykle odrazu po kilka bagnetów, które potem z trudem wyrywano, opierając nogę na piersi. Dotąd jeszcze mam w uszach tyle razy słyszany specyficzny chrypliwy świst, wyrywający się z piersi nagle przebitego człowieka. Na zakończenie podpalono wioskę, w której znajdowało się mnóstwo rannych. Pamiętam też takie rzeczy:

1) Żołnierze znajdują w krzakach drżącego, oszalałego ze strachu Chińczyka. W tej chwili wbija się w jego ciało ośm bagnetów.

2) Żołnierz wbija bagnet w brzuch młodej kobiety; ta kurczowo chwyta ręką za karabin; w tej chwili podbiega drugi żołnierz i powtórnie ją przebija; kobieta pada ciężko na ziemię, rozstawiając przytem nogi; trzeci żołnierz podbiega i dobija ją w okrutny i cyniczny sposób, przed którego opisem cofa się pióro.

Walka z chińskiemi wojskami prawie zawsze tak wyglądała: po 2—3 bezładnych salwach Chińczycy zmykają co tchu, uwalniając się po drodze od krępującej ich ruchy broni i odzieży, i gdy ich dopędzą, padają na kolana i wyciągają ręce, błagając o litość. Wtedy zaczynają działać kozacy, wyrzynając bezbronnych. „Takie jest surowe, ale konieczne prawo wojny“ — zakończył swe opowiadanie oficer, ozdobiony orderem św. Jerzego.

Co ułatwiało niezmiernie znęcanie się nad przeciwnikiem, to, że nie posiadał on wcale broni, zasługującej na tę nazwę. Dość rzucić okiem na broń, zabraną u Chińczyków, by się przekonać o jej zupełnej nieużyteczności. Armaty ich i strzelby są to puste cylindry różnego kalibru, przenoszone na plecach lub przybijane do ziemi za pomocą gwoździa, znajdującego się pod spodem. Armaty są tak lekkie, że je z łatwością może przenosić jeden człowiek. Bomby są po większej części zatkane korkiem. Nic też dziwnego, że kule armatnie odbijały się od ścian domów.

Z prowincji Pe Czi Li wojna wkrótce przeniesiona została do Kwantonu, wreszcie do całej Mandżurji. Przy podbijaniu tej prowincji pamiętnem stało się zdobycie Chunczunu, jedynego miasta, które okazało opór wojskom rosyjskim. I tu, gdy armja wkroczyła, wyrznięci zostali w s z y s c y mieszkańcy, między którymi tysiące kobiet i dzieci. Żołnierze, z którymi rozmawiałem o tym wypadku, mówili, że działali na podstawie rozkazu oficerów, nie dozwalających zostawiać żywej duszy. Tak samo „rwali się do boju“ i popełniali okropności zwycięzcy w Pe Czi Li, gdzie żadnego oporu nie było. Oficer K., który odbył tę kampanję, tak mi ją opisywał:

Chińczycy uciekają. Żołnierze dopędzają ich i biorą na bagnety. Pogoń za zmykającymi „barbarzyńcami“ doprowadza żołnierzy do wściekłości: stopniowe zbliżanie się do ofiary działa elektryzująco; żołnierz dopada Chińczyka i uderza go bagnetem w plecy... Chińczyk robi rozpaczliwy skok, uwalnia się od żelaza i pędzi dalej, skrapiając ziemię krwią; żołnierz wypręża się i przebija go ponownie; Chińczyk pada, a żołnierz w wściekłości przebija trupa jeszcze sześć razy.

Inny obrazek. Trzem Chińczykom kazano wykopać dla siebie samych wspólną mogiłę. Zrobili jamę, ale nie bardzo głęboką. Podchodzi wtedy żołnierz i przebija bagnetem jednego, drugiego, trzeciego. Wpadają oni do mogiły, ale jeden żyje jeszcze i próbuje się wydostać. Wtedy jeden z żołnierzy następuje na niego nogą, a drugi zasypuje go żywcem ziemią.

Żołnierzy armji chińskiej, wziętych do niewoli, uznawano zwykle za „chunchuzów“ (powstańców) i skazywano na rozstrzelanie. Jeden z jenerałów, Czyczagow, zmienił jednak taktykę. Utworzył on mianowicie sąd, złożony z Chińczy-

ków, których sam wybrał. Sąd ten doskonale zaczął sobie dawać radę z wszystkimi aresztowanymi, denuncjowanymi lub tylko podejrzanymi „wrogami wewnętrznymi“ państwa środkowego. Zaczęto ucinać głowy całym partjom. Procedura ta odbywała się w sposób następujący: skazani na śmierć tworzą czworobok, klęcząc, z wyciągniętemi naprzód głowami. Kat, zbrojny w długi nóż, podchodzi po kolei do swych ofiar, uderza rękojeścią noża w podbródek, wskutek czego głowa jeszcze bardziej się wyciąga, poczem rąbie na odlew. Zwykle głowa odrazu padała, a tułów ciężko osuwał się na ziemię; w razie niepowodzenia, kat podchodził i nożem przerzynał pozostałe mięśnie. Ale to nie podobało się owemu sądowi chińskiemu, gdyż głowy padały „zbyt szybko“. Zaczęto zatem, na jego propozycję, piłować głowy piłą. Oprócz tego, przy śledztwie praktykowano wszelkiego rodzaju tortury. Najczęściej bito pałką bambusową w golenie. Bijący tak byli wyćwiczeni, że już po trzeciem uderzeniu skóra pękała i tworzyła się głęboka rana. Po kilku uderzeniach oskarżony przyznawał się zwykle; wtedy ucinano mu głowę. Najlżejszą karą było zakuwanie po kilkunastu ludzi w kłodę drewnianą z otworami na szyję, przyczem ten, który był niższy, dusił się, jeżeli wszyscy inni nie zginali się przy chodzeniu.

Asystentem przy sądzie chińskim był oficer F., który takie rzeczy opowiadał: Sądzono raz Chińczyków, podejrzanych, że są chanchuzami. Obwiniony nie przyznaje się do winy. Rzucają go na ziemię i dają mu 50 uderzeń bambusem w łydki. Podsądny krzyczy z początku, potem milknie, ale zapiera się. Sędzia zapewnia, że wkrótce nastąpi wyznanie. Biją go więc bambusem w pięty; a gdy to nie skutkuje, zaczynają uderzać po twarzy rzemieniem; od pierwszego uderzenia twarz puchnie. Wreszcie kładą mu jakiś specjalny przyrząd na piersi i zaczynają mu je ściskać. Wtedy Chińczyk zawołał, że jest chunchuzem. Skazano go na śmierć. Gdy śledztwo nad wszystkimi zostało skończone, związano ich razem za warkocze i zaprowadzono na miejsce kaźni. Jedno machnięcie miecza, a głowa zawisła na warkoczu sąsiada i tylko dwie fontanny krwi wytrysnęły do góry. Widzowie, zachwyceni, zawołali wtedy: „chao!“ (brawo).

(C. d. n.)



Kilka słów z okazji wystawy w Muzeum miejskiem.

W Muzeum przemysłowem miejskiem jest epizodyczna wystawa. Ministerjum handlu przysłało do Lwowa szereg wyrobów artystycznych tak współcześnie uczynionych, jakoteż rzeczy starych, lub też naśladownictw.

Wystawy takie w kraju, jak Galicja, winny mieć podwójny cel na oku.

Jeżeli są wyrazem skończonej techniki wytwórczej, uczą rzemieślnika samem pokazaniem roboty lepszej, sprawności i dokładności.

Mogą również przedmioty tam wystawione pociągać wytwornością i znamiennością kształtów i tem wyrabiać smak u naszych wytwórców. W żadnym zaś razie nie należy w y s t a w p o-

dobnych uważać jako reklamy dla fabrykantów wiedeńskich.

Na wystawie przeważają głównie meble i okazy tak zwanej sztuki drobnej stosowanej.

Meble wiedeńskie prawie wszystkie są „secesyjne“ — jak to dziś nazywają rozwielmożniony w Niemczech i zwyrodniały styl japońsko-angielski.

Znane nam skądinąd te krzesła, foteliki, kredensy wiedeńskie, pozujące na prostotę w formach, ale więcej ordynarne, jak proste — co, jak wiadomo, nie jest jedno i to samo.

Są też „secesyjne“ makaty, co do których nie wiem dotąd jeszcze wciąż, dla czego mają być lepsze od naszych kilimów.

Wyroby porcelanowe tak francuskie z Sevres, jakoteż szwedzkie, mają wartość dla nas zupełnie oderwaną, jak długo nie mamy u siebie wyborowego kaolinu.

Pozostają drobne bronzy, rozmaite kubki, klucze itd., które wskazują jedynie naszym rzemieślnikom drogę, po jakich iść może nasz własny przemysł artystyczny, oparty nie na wzorach wiedeńskich, lub francuskich ale ojczystych.

Ciekawy dość jest zbiór naśladownictw i oryginalnych okazów fajansu i porcelany rozmaitych krajów. Patrząc zaś na naczynia kamionkowe i majoliki francuskie, myślałem z przykrością o tem, jak znacznie piękniejsze i oryginalniejsze majoliki kołomyjskie małem się cieszą stosunkowo uznaniem i jak wiecznie stary pęd do obczyzny nie pozwala się rozwinąć narodowej twórczości.

Proszę mnie zrozumieć: nie mam nic przeciw wystawom podobnym, owszem, uznaję ich wartość, jeżeli są tylko czynione w imię zasady: „cudze znać, swoje kochać należy“. Inaczej bowiem, niszcząc odrębności lokalne narodowe artystyczne i niwelując całą wytwórczość w imię panującej mody, wyrządzają więcej szkody kulturze w sztuce, niż przynoszą pożytku tem, że uczą sprawności rękodzielniczej naszych rzemieślników.

K. M.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Wstęp do filozofii* W. Wundta, przeł. z niemieckiego W. M. Kozłowski. Warszawa. Księgarnia E. Wende, 1903. Jako podręcznik dla początkujących adeptów wiedzy filozoficznej, lub samouków, przedstawia książka niniejsza dużą i realną wartość, zwłaszcza, gdy się ją przestudjuje łącznie z jakimś podręcznikiem do historji filozofji. Sam bowiem „Wstęp do filozofii“, jakkolwiek podaje chronologiczne zestawienie wszystkich systematów filozoficznych, począwszy od greckich spekulacji kosmologicznych aż do filozofji doby najnowszej, to jednak stroną ich historyczną i biograficzną nie zajmuje się wcale, jak inne tego rodzaju podręczniki. Pierwsza część książki stanowi całokształt systematyki i zadań filozofji, a po przeglądzie historycznym następuje rozpatrzenie głównych kierunków myśli filozoficznej. Cały ten zarys przeprowadzony jest w książce z prawdziwie niemiecką systematycznością i to w sposób — o ile możności jasny i treściwy. Jest bowiem „Wstęp do filozofji“ streszczeniem wykładów akademickich prof. Wundta na uniwersytecie w Lipsku. — Tłumaczenie wreszcie, dokonane przez p. W. M. Kozłowskiego, jest bez zarzutu.

NOTATKI. *Wystawa Sztuki w Wilnie.* Z inicjatywy znanego malarza, p. Ferdynanda Ruszczyca, otwarto w Wilnie na sześć tygodni wystawę malarską Stowarzyszenia artystów polskich „Sztuka“, dopełnioną niektórymi obrazami zmarłych już malarzy (n. p. A. Gierymskiego), pokrewnych duchem i dążeniami nowoczesnej „Sztuce“. Wystawa ta przebywała, jak wiadomo, poprzednio we Wiedniu, w Warszawie i we Lwowie, z tą tylko różnicą, że w Wilnie brakuje rzeźb Szymanowskiego, które inne otrzymały już przeznaczenie. Wystawa znajduje się w pięknym gmachu byłej wystawy rolniczej w ogrodzie pobernardyńskim i jest pierwszą tego rodzaju wystawą, urządzoną w tem mieście. Zainteresowanie publiczności wileńskiej wystawą jest bardzo wielkie; ogromne zwłaszcza wrażenie robią witraże Stanisława Wyspiańskiego i pejzaże Ferdynanda Ruszczyca.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.